



Czasami,
by się zakochać,
potrzeba tylko
odrobiny magii

JULIE ABE

PRZEŁOŻYŁA ANNA HIKIERT-BEREZA

Young

JULIE ABE



PRZEŁOŻYŁA
Anna Hikiert-Bereza

 Young

TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Charmed List

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik

Wydawczyni: Maria Mazurowska

Redakcja: Magdalena Kawka

Korekta: Beata Wójcik

Projekt okładki: Omar Chapa

Ilustracja na okładce: © Vi-An Nguyen

Opracowanie graficzne okładki: Wojciech Bryda

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2022 by Julie Abe

Copyright © 2024 for the Polish edition by Young
an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Anna Hikiert-Bereza, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2024

ISBN 978-83-8371-051-8

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Rozdział I

Ciepły letni wiatr chłodzi moją skórę, gdy pedałuję jedną z bocznych uliczek centrum Palo Alto. W moim rodzinnym mieście, położonym w samym sercu Doliny Krzemowej, jest kilka spokojniejszych miejsc, gdzie można zapomnieć o panującej tu powszechnie ciągłej pogoni za najnowocześniejszymi technologiami. Przedsiębiorcy zarzekają się, że najlepsze pomysły przyszły im do głowy przy stoliku w kącie pewnej kawiarenki, a odnoszące sukcesy start-upy powstają podczas spacerów po kampusie Uniwersytetu Stanforda, gdy słoneczny blask sączy się leniwie przez zielone liście dębów. Niektórzy odwiedzający twierdzą, że tutejsze powietrze wibruje jakąś dziwną energią. Ludzie nazywają Palo Alto osobliwym, a nawet hipsterskim...

Ale ja znam prawdę. To miasto jest magiczne. W całym Palo Alto – jeśli tylko wie się, gdzie szukać – pełno jest uroków i zaklęć.

Gdy zbliżam się do ratusza, skręcam ostro w lewo w Ramona Street, zwężającą się ulicę z budynkami o stiukowych fasadach, a także markizach w kolorze głębokiej czerwieni, która nawiązuje do barw Uniwersytetu Stanforda.

Kiedy skręcam za róg i wjeżdżam na plac, moich uszu dobiega okrzyk:

– Hej, Ellie!

Hamuję i się uśmiecham; opony mojego roweru piszczą na betonie.

– Jak leci, Ana?

Analise, dwudziestokilkuletnia właścicielka modnej kawiarni Simple Mornings, zaprasza mnie do siebie gestem znad stolika, który właśnie wyciera; jej opalona skóra lśni złoto w słońcu.

– Wpadłaś uczcić zakończenie roku szkolnego?

Wskazuję plecak nad moim ramieniem. Mam w nim laptopa, kilka szkicowników i dwa podręczniki do wkuwania na ostatnią chwilę.

– Pozwól, że najpierw zostawię go w domu. Przysięgam, jest cięższy niż Totoro i kotobus razem wzięci! Lia i ja zajrzymy za chwilę, aby zaplanować naszą wycieczkę.

– Moje nowe babeczki z mango to idealny sposób na rozpoczęcie wakacji. Są przyprawione magiczną iskierką radości! Lepiej wróć, zanim wszystkie znikną! – Ana uśmiecha się i gestem daje mi znać, żebym leciała.

Moja najlepsza przyjaciółka, Lia Park, nie miała w trzeciej klasie końcowych egzaminów, więc wyszła dziś ze szkoły wcześniej. Ja musiałam się zmierzyć z ekonomią, więc nie miałam tyle szczęścia, ale myślę, że poszło mi całkiem nieźle.

Tak czy inaczej, ten rok szkolny powoli odchodzi w zapomnienie, ulotny niczym kredowe szkice, które Ana rysuje na ścieżce przed swoją kawiarnią, aby przyciągnąć klientów. Nie zamierzam tracić więcej czasu na martwienie się o oceny. To już oficjalnie lato przed ostatnim rokiem w szkole i nie mogę zmarnować z niego ani sekundy, począwszy od naszej epickiej podróży do południowej Kalifornii.

Zatrzymuję się przed pozornie prostymi dębowymi drzwiami i przypinam rower do stojaka. Drzwi są pokryte bluszczem i mogą je otworzyć tylko osoby potrafiące używać magii. W magii nic nie jest proste, ale właśnie dlatego my, czarodzieje, ukrywamy ją przed tymi, którzy nie są świadomi jej istnienia, nazywanymi przez mamę dyplomatycznie „ogółem społeczeństwa”.

Sklepy na placu Magii w Palo Alto nie wyróżniają się niczym szczególnym, ale ten z pozoru zwyczajny skwer ma swoją sekretną stronę. Moim ulubionym sklepikiem jest oczywiście ten prowadzony przez moich rodziców, w którym sprzedają najlepszą w mieście energetyzującą, świeżo parzoną herbatę – doprawioną szczyptą uroku radości. Jest też piekarnia Any, której świeżo upieczone babeczki z cynamonową kruszonką poprawiają klientom humor i dodają im animuszu. Mamy również coś, co wygląda jak apteka (ale tak naprawdę jest punktem, w którym można nabyć wszystko – od uroków zamkniętych w buteleczkach, aż po eliksiry naprawiające nieudane uroki), sklep odzieżowy (przydatny, gdy potrzebujesz džinsów z prawdziwymi kieszeniami, jak i tymi magicznymi, w których można ukryć zaklęcia i magiczne fiołki), magiczną wegetariańską restaurację z indyjskim jedzeniem, pachnącą najbardziej aromatycznymi mieszankami przypraw, jakie kiedykolwiek istniały, przytulny sklepik z minerałami, pełen leczniczych kamieni i magicznych pierścieni zmieniających nastrój, oraz zaczarowany sklep z owocami, gdzie można kupić między innymi smoczy owoc płonący słodkim ogniem.

I jest też jeszcze jeden sklep, naprzeciwko sklepu moich rodziców, ale...

O nim na razie zapomnijmy. Możecie mi wierzyć – całemu Palo Alto wyszłoby na dobre, gdyby on... to znaczy, mam na myśli ten sklep, nie istniał.

Mimo to, pomijając drobne uciążliwości, uwielbiam ten przytulny plac, na którym magia spotyka się z rzeczywistością. To mój dom.

Odsuwam na bok zasłonę bluszczu i otwieram drewniane drzwi prowadzące do naszego mieszkania za sklepem moich rodziców. Zawieszony nad nimi dzwonek wydaje z siebie głośnie „dzyń”! Rozlega się podekscytowany jazgot, a następnie gorączkowy stukot pazurków o podłogę. Sekundę później wprost na mnie pędzi z furią puchata kulka, wpadając z impetem w moje otwarte ramiona.

– Mochi!

Shiba o jaskraworudej sierści (wiecznie gubiąca jej więcej, niż są w stanie powstrzymać zakłęcia) wyslizguje się z moich objęć i tańczy radośnie wokół mnie na swoich długich smukłych nogach, machając zakręconym ogonem tak mocno, że boję się, iż lada chwila jej odpadnie. Staram się nie potknąć o nią i nie przewrócić, podczas gdy ona kluczy wokół moich nóg, jakbym była jakimś ruchomym torem przeszkód. Można by pomyśleć, że nie było mnie przez miesiąc, choć przecież wyszłam tylko do szkoły, jak co rano. Mała Mochi ma teraz dziesięć lat, ale mruży oczy tak samo jak wtedy, gdy miała dwa i znalazłam ją drżącą w Heritage Park, samotną i brudną.

Remy, moja czternastoletnia młodsza siostra, podnosi wzrok, gdy wchodzi do kuchni, a Mochi lgnie do moich nóg, jakby próbowała się wokół nich owinać.

– Przyszedł Cam – informuje mnie Remy.

Ze swoimi sowimi oczami, pyzată buzią i rzadkimi, prostymi włosami przypomina tatę, podczas gdy ja wdałam się raczej w mamę – mam jej kocie oczy, ostry podbródek i gęste, lekko falowane włosy, które wiecznie wpadają mi do oczu.

Cam kiwa do mnie głową zza drewnianego stołu, na którym wraz z Remy układają kolejną łamigłówkę. Czasami jego widok mnie drażni, bo jego jasnobrązowe włosy i opalenizna są identyczne jak u jego starszego brata. Ale Cam jest zawsze spokojny i nade wszystko lubi spędzać czas z moją młodszą siostrą – na przykład

świętując ostatni dzień ich pierwszej klasy, układając z nią układankę. Ponieważ oboje są użytkownikami magii, ich puzzle nie są zwyczajne. Ktokolwiek ułoży ostatni element grafiki przedstawiającej konstelacje, otrzyma iskierkę szczęścia, które będzie mu towarzyszyło przez cały dzień. Remy ma obsesję na punkcie tych układanek i gromadzenia małych okruchów szczęścia. Nie chce nikomu wyjawiać, w jakim celu je zbiera, ale obstawiam, że ma to coś wspólnego z Camem.

– Jack przesyła pozdrowienia. – Cam uśmiecha się psotnie.

Dla żartu zabieram mu kawałek układanki, który trzyma w dłoni, i mrużąc oczy, wsuwam pomarańczowy puzzle w część grafiki przedstawiającą słońce.

– Nie ma za co. Jeżeli wygrasz, oddasz mi część swojej nagrody – mówię. – Jeśli mam wytrzymać to lato z twoim bratem kręcącym się w pobliżu, będę potrzebowała każdego okruchu szczęścia, jaki tylko zdołam zdobyć.

Cóż, to w zasadzie prawda – zdecydowanie wolałabym, żeby Jack Yasuda wyjechał na staż, tak jak w zeszłym roku.

Cam i Remy parszczą śmiechem. Wiedzą, że Jack i ja za sobą nie przepadamy, oględnie mówiąc.

– W takim razie masz szczęście, że wyjeżdżasz chociaż na trochę – stwierdza Remy.

– Jack zostaje, żeby zająć się sklepem, więc nie będzie go też na zjeździe. Nie będziecie musieli piorunować się nawzajem wzrokiem na stoisku.

Łypię na nich gniewnie, a oni wybuchają śmiechem – tak idealnie zsynchronizowanym, że aż mnie od tego mdli. Jack i ja byliśmy ze sobą tak blisko jak Cam i Remy – przez całe gimnazjum, ale po śmierci pani Yasudy ojciec Jacka zaczął sprzeczać się z moimi rodzicami o kierunek, w jakim powinien rozwijać się plac Magii (pan Yasuda jest zwolennikiem zakłębć mocy i sławy, podczas gdy

my, Kobatowie, wolimy uroki radości i szczęścia). Jack wziął naturalnie stronę ojca i przestaliśmy się spotykać szybciej, niż zdołalibyście wymówić słowa „koniec przyjaźni”. Od tamtej pory uparcie mnie ignoruje.

Jakimś cudem moja spokojna siostra Remy i Cam trzymają się wciąż razem, nawet gdy nasze rodziny skaczą sobie do oczu – co więcej, zawsze starają się wówczas działać w charakterze rozjemców. Ja też przeważnie jestem spokojna, jak Remy, ale nie wtedy, gdy w grę wchodzi Jack Yasuda.

– Mama i tata chcieli, żebyś się zameldowała, jak wrócisz – informuje mnie Remy, gdy kładę plecak na wolnym siedzeniu. – A Jack wspominał, że również chciałby się z tobą później zobaczyć.

Plecak wypada mi z ręki, spada z krzesła i uderza z hukiem o sfatygowaną drewnianą podłogę.

– Żarcik! – parska Remy, a ja mam ochotę ją zamordować.

– Kiepski – mamrocze pod nosem. – Żaden żart z udziałem Jacka nie jest zabawny.

Szczególnie jeśli niesie ze sobą ryzyko zepsucia mojego laptopa. Mochi radośnie okrąża mój plecak, a potem wraca do mnie, tryskając energią jak zawsze.

Mam nadzieję, że ten huk to był tylko dźwięk podręczników uderzających o podłogę, a nie mojego starego komputera – bo to oznaczałoby konieczność przejrzenia książki zaklęć, aby dowiedzieć się, jak go naprawić (takie przedsięwzięcie wymagałoby czegoś zdecydowanie więcej niż tylko szczypta magii).

– Chcesz, żebym na niego zerknęła?

Widzę wyraźnie, że Remy zżera poczucie winy; wie, że nie mamy pieniędzy na nowego laptopa. Schyla się, żeby pomóc Camowi podnieść plecak z ziemi i położyć go na krześle. Gdy ich dłonie się stykają, policzki Cama pokrywa lekki rumieniec. Dałabym sobie rękę uciąć, że gdybym w tej chwili była w stanie

dostrzec magiczny pył, między tą dwójką szalałaby prawdziwa nawałnica – targające nimi emocje są gwałtowne niczym burza z piorunami.

– Na pewno nic mu się nie stało, sprawdzę później. Teraz muszę lecieć, umówiłam się z Lią. – Żartobliwie mierzwią włosy siostry.

Remy odtrąca swoją rękę, wyglądzając potarganą grzywkę i zerkając ukradkiem na Cama, który skupia się ponownie bez reszty na studiowaniu układanki, jakby desperacko potrzebował szczęścia.

Wodzę między nimi wzrokiem, jasno dając mojej siostrze do zrozumienia, że to nie umknęło mojej uwagi, ale ona z uporem godnym lepszej sprawy wpatruje się w puzzle i desperacko unika mojego spojrzenia, chociaż jej policzki także różowieją. Hmm... oboje mają po czternaście lat... Czy to już pora na letnie zauroczenie?

Ha! Spośród wszystkich znanych mi osób to właśnie ja rozpaczliwie potrzebuję letniej przygody – i to zanim ubiegnie mnie moja młodsza siostra. Jako najbardziej przeciętna z przeciętniaków w Palo Alto High School jestem prawdopodobnie ostatnią osobą, która jeszcze nie była na prawdziwej randce.

Mochi przemierza korytarz tanecznym krokiem, prowadząc mnie do herbaciarni. Dla Marków Zuckerbergów i Elonów Musków tego świata (ich lub członków ich rodzin, którzy już tu byli) Elissa's Tea Shop to zwykła japońska kafejka, ale my, magiczni, wiemy, że tutejsza matcha bubble tea i gotowane na parze ciastka z czerwonej fasoli naprawdę dają radość. Owa nutka szczęścia, którą doprawiamy nasze napoje, może być również powodem, dla którego jesteśmy najpopularniejszą herbaciarnią w Palo Alto. Ma się rozumieć, niemagiczni nie mają pojęcia o tym, że nasza herbata jest zaklęta. Wiedzą tylko, że po jej wypiciu czują się lepiej, optymistyczniej.

Gdy zbliżam się do zasłony oddzielającej nasz dom od sklepu, słyszę szmer rozmów. Początkowo wydaje mi się, że to klienci, ale

później rozpoznaję głos taty – niski, ściszony niemal do szeptu. Zastygam w bezruchu.

– Eric Yasuda wciąż awanturuje się o nasze stoisko na targach ZKSM. – Przez zasłonę widzę, jak tata pociera dłonią łysy placek na czubku głowy. – Uważa, że tylko CharmWorks powinno mieć swoje stoisko. Twierdzi, że nasza herbata, babeczki Any i inne rzeczy z placu to niepotrzebne błahostki.

W tym roku rodzice pierwszy raz pozwolili mi jechać na Kalifornijski Zjazd Sprzedawców Magii w Huntington Beach, podczas gdy oni przylecą na miejsce samolotem. To będzie najbardziej niesamowita podróż – moja i Lii, mimo iż moja przyjaciółka nie należy do grona użytkowników magii. Jest przekonana, że będę po prostu wiozła nasze rzeczy na jakieś nudne targi. Ona ma z kolei spotkać się na miejscu ze swoim kuzynostwem. Ale bez względu na powody, dla których mamy odbyć tę podróż, jestem bardziej niż gotowa na przeżywanie letnich przygód z moją najlepszą przyjaciółką. Od miesięcy czekałam na to, aby pojechać do hrabstwa Orange moją małą toyotą camry z bagażnikiem wypchany towarami na wystawę – wiele razy wyobrażałam sobie siebie i Lię w aucie z opuszczonymi szybami, gdy słuchamy muzyki podczas podróży wzdłuż wybrzeża, a wiatr targa naszymi włosami.

Ale całe to narzekanie pana Yasudy... Uch. Cóż, właściwie to mogłam się tego spodziewać. Pan Yasuda jest, wypisz wymaluj, jak jego wkurzający syn – uparty i mający wszystkich za nic. Znam tę śpiewkę taty aż za dobrze. Ojciec Jacka, Eric Yasuda, i ich sklep, CharmWorks, to nasze największe utrapienie. CharmWorks to w zasadzie walmartowa wersja sklepu z urokami. Zamawiają masowo produkowane zaklęte produkty i sprzedają je w swoim lokalu oraz za pośrednictwem nowiutkiej, eleganckiej strony internetowej. Dla osób postronnych, nieużywających magii, wygląda

całkiem jak sklep papierniczy – ale ich notesy są nasyczone zaklęciami zapewniającymi potęgę i sławę.

Mama wzdycha.

– I ciągle sugeruje, że chce ubiegać się o moje stanowisko głównego czarodzieja. Wszyscy wiemy, jak to się skończy dla miasta. Palo Alto i tak już ma wybujałe ambicje, a on chciałby, żeby mierzyło jeszcze wyżej?

Pan Yasuda próbuje odebrać mamie jej stanowisko? Rola głównego czarodzieja w naszym miasteczku to coś w rodzaju odpowiednika burmistrza, wybieranego przez innych władających magią mieszkańców i zaprzysięganego przez magicznego nadzorcę hrabstwa. Mama naprawdę wkłada w to, co robi, całe swoje serce, dzieląc się magią z osobami, które nie zostały pobłogosławione tym darem (robi to bez ich wiedzy), a ja nie sądzę, aby chciwy, łasy na pieniądze Eric Yasuda zdołał wykrzesać z siebie dość altruizmu, aby kiedykolwiek jej w tym dorównać.

Wolę o tym nawet nie myśleć. Napieram mocno stopą na skrzypiącą deskę w korytarzu i odgłosy rozmowy cichną.

Wsuwam głowę za zasłonę, a Mochi cierpliwie czeka przy drzwiach. Nie wolno jej wchodzić do sklepu, bo sprzedajemy jedzenie, a ona jest wykształcona dość dobrze, aby wiedzieć, gdzie jest granica, której nie powinna przekraczać.

Mama podnosi wzrok znad pakowanych właśnie makaroników matcha – kolejnego z jej kulinarnych arcydzieł.

– Cześć, kochanie! Witaj w domu! Jak poszedł ci egzamin z ekonomii?

– Był koszmarny, ale chyba dałam radę. – Podkradam makaronik z tacy, a mama śmieje się, udając, że chce mi go odebrać. – Jak tam w sklepie? Potrzebujecie pomocy?

Tata kręci głową, czyszcząc bojler z gorącą wodą na drugim końcu lady.

– Nie, lunch dopiero za jakąś godzinę.

Opieram się o ladę, w gryzając w delikatne ciasteczko. Smakuje jak lekko oślodzona filiżanka ciepłej zielonej herbaty, doprawiona niewielką szczyptą zaklęcia zadowolenia, jedną ze specjalności mamy. Stres związany z ekonomią, egzaminami i zakończeniem roku szkolnego mija, całkiem jakbym mogła zatrzymać się wreszcie po długim biegu i wziąć głęboki oddech.

– A więc... pan Yasuda znowu narzeka na nasze stoisko na ZKSM?

Mama spogląda na tatę i widzę, że nadal nie są gotowi na rozmowę o tym, iż pan Yasuda chce przejąć stanowisko mamy, ani o planach placu Magii dotyczących naszego wspólnego stoiska.

Tata macha w stronę drzwi.

– Nie, nie przejmuj się tym, Ellie. Wyjedziesz w przyszłym tygodniu, zgodnie z planem, ze wszystkimi naszymi rzeczami. Idź dziś świętować z Lią. Uczcij swój ostatni dzień szkoły.

Całkiem jakby moja najlepsza przyjaciółka miała magiczne wyzucie czasu, mój telefon brzęczy esemesem:

LIA: Jestem u Any. Zjem wszystkie babeczki,
jeśli wkrótce się nie zjawisz!

Przygryzam wargę, a Mochi skamle cichutko za moimi plecami.

ZKSM to coroczne spotkanie magicznych sklepów z całego stanu. Ten rok jest wyjątkowy – to setna rocznica imprezy – więc wybieramy się całą rodziną.

Wraz z innymi magicznymi sklepami z Palo Alto wystawiamy nasze towary, aby nawzajem się promować – i w nadziei na przyciągnięcie uwagi dystrybutorów, którzy zechcą nabywać u nas produkty dla swoich sprzedawców internetowych – zwiększyć sprzedaż

i szanse na to, że nasze magiczne towary trafią do odpowiednich klientów. Nawet jeśli dziewięćdziesiąt pięć procent świata nie jest świadomych tego, że magia faktycznie istnieje, nasze zaczarowane produkty zwykle trafiają do ludzi, którzy najbardziej ich potrzebują.

Mochi podąża za mną trasą, którą wolno jej przejść – wzdłuż ściany sklepu, z dala od pustych stolików, a mama odkorkowuje buteleczkę, aby uwolnić z niej nieco czaru oczyszczającego. Obłoczek zaczarowanego proszku unosi się w ślad za Mochi, zbierając całą zbłąkaną psią sierść, którą napotka po drodze, po czym wsącza się do małego kosza na śmieci obok wejścia.

Gdy docieram do drzwi, oglądam się ponownie na rodziców.

– Jesteście pewni, że...?

Tata i mama uśmiechają się do mnie, mrużąc oczy i wyganiając mnie gestem na zewnątrz.

– Ciesz się początkiem lata, Ellie – mówi mama. – To twoje ostatnie długie wakacje przed nową szkołą! Rety, kiedy to zleciało?

– Tylko nie narozrabiaj! – woła za mną tata, jak zwykle, a ja wybucham śmiechem. Ja? Rozrabiać? Nigdy w życiu.

W przeciwieństwie do pewnej znanej mi osoby...

Krzywię się kwaśno na samą myśl o moim sąsiedzie, otwieram frontowe drzwi i wychodzę na zewnątrz. Mocno ściskam w dłoni telefon. W tylnej kieszonce etui mam kartę debetową i trochę gotówki – sprawdzam, czy nadal tam są, czując pod opuszkami ostrą krawędź plastiku.

Gdy skręcam za róg i kieruję się do centrum placu Magii, gdzie czeka na mnie Lia, w uszach wciąż szumi mi od poirytowania.

I właśnie wtedy, gdy jestem zdekoncentrowana – akurat wtedy, kiedy nie widzę, co się dookoła mnie dzieje, potykam się.

Potykam się... i wpadam prosto na ostatnią osobę w całym Palo Alto, na którą chciałabym wpaść. Właściwie to w całej Dolinie Krzemowej.

Hm, nie. To mało powiedziane. Wpadam na najbardziej przeze mnie znienawidzoną osobę na całym świecie.

Na cholernego Jacka Yasudę.



-  wydawnictwokobiece.pl
-  Wydawnictwo Young
-  [wydawnictwoyoung](https://www.instagram.com/wydawnictwoyoung)
-  [wydawnictwoyoung](https://www.tiktok.com/@wydawnictwoyoung)

 Young